

Obozem z Oddz. nr Zakopanem
Krupiński 41; 34-500 Zakop.
6.8.90 JZ

K R Y S T Y N A Z Y W N O

Tajski - udoczynj,
a/a JZ

© ARCHIWUM Wschodnie

II / 1009

WSPOMNIENIA Z LAT WOJNY I WYGNANIA
1939 - 1946

I.

1 września 1939 r. Jako dziesięcioletnia dziewczynka jeszcze nie rozumiałam, co się stało, w domu gorączkowe rozmowy rodziców, niepokój. Już wiedziałam, że nie pójdę do szkoły. Oglądałam moje bardzo dobre świadectwo z trzeciej klasy i było mi bardzo smutno. Rankiem nad domem przeleciał ogromny (bardzo nisko) samolot z biało-czerwona szachownicą, z oddali dochodził huk bombardowań. Mieszkaliśmy w lesie, do najbliższej wsi 8 kilometrów.

Ojciec inżynier Ryszard Żywno był nadleśniczym Lasów Państwowych - Dyrekcja Lasów Państwowych Siedlce, Nadleśnictwo Porzyżyn (około 50 km od Brześcia nad Bugiem). Mieszkałam z rodzicami, babcią i gosposią z małą córeczką Jasią. Były tam tylko trzy domy, w jednym mieściły się biura i nasze mieszkanie, w drugim mieszkał sekretarz N-ctwa i były pokoje gościnne, a w trzecim małym domku mieszkał młody kancelista z żoną. Bardzo ich lubiałam. Jego nazywałam "Gołębisko", a jego żonę "Kicia".

W miarę upływu czasu zaczęli przybywać do naszego domu uciekinierzy z zachodniej części Polski i żołnierze polscy z rozbitych oddziałów. Po otrzymaniu od rodziców pomocy szli dalej. Przez nasz dom przewinęło się kilkaset osób.

Kiedy po 17 września wkroczyli "oswobodziciele" zaczęli przychodzić chłopci, może to byli robotnicy leśni - żądali pieniędzy z kasy, których ojciec nie miał. Nie chcieli tego zrozumieć, odgrążali się, że mu jeszcze pokażą, bo teraz

jest inna władza, a władza "panów" się skończyła. Teraz oni będą panów smażyć na rozpalonych płytach.

W okolicznych wsiach mieszkali Białorusini, którzy w większości pragnęli władzy komunistycznej. Któregoś dnia rano okazało się, że nadleśniczówka otoczona jest poustawianymi dookoła na płotach karabinami maszynowymi. Przyszli rabować, w imieniu jakiegoś tam, stworzonego przez siebie komitetu. Zabrali maszynę do szycia i duży, stary zegar ścienny, który moja matka miała po swoich rodzicach. Zdejmujący zegar ze ściany powiedział: "Wy przez dwadzieścia lat patrzyliście na ten zegar - teraz my będziemy patrzeć". Byliśmy bezsilni.

Pewnego jesiennego wieczoru do domu wdarli się zamaskowani mężczyźni, wpadli do pokoju, gdzie cała rodzina siedziała przy dużym stole. Strzelali do ojca przez długość stołu, a więc z bliska. Nie umieli strzelać i to go uratowało. Kule trafiły w sufit i wysoko w ścianę. Za plecami ojca były drzwi do holu, skoczył za nie, babcia szarpała się z napastnikami przy drzwiach przez chwilę, co wystarczyło ojcu, by wybiec z domu do ogrodu, a potem do lasu. Bandyci wybiegli za nim i jeszcze strzelali w ciemności.

Cała rodzina wybiegła z domu, ja też. Uciekałam w las. Z daleka słyszałam rozpaczliwy głos matki, która biegnąc ścieżką do domku kancelisty krzychała: "Jezu, zabili Renia,

zabili, zabili" - powtarzała. Ja okrążając dom i przędzierając się przez krzaki zmierzałam w kierunku głosu matki. Koło siebie słyszałam głosy napastników, nawoływali się imionami Kolka, Wańka. To dziwne, że mnie nie usiłowali złapać, bo gdyby wzięli mnie jako zakładniczkę, wtedy ojciec sam by się zgłosił. Widocznie byli na to za głupi. Kiedy dobiegłam do domku kancelisty, były tam już matka i babcia. Wszyscy płakali. Matka przeraziła się na mój widok, bo miałam całą twarz i ręca we krwi. Myślała, że jestem ranna, a ja uciekając przez las, ze strachu pogryzłam sobie palce do krwi i cała się krwią umazałam. Gryzienie paznokci zostało mi na wiele lat po wojnie.

Przez całą noc denerwowałyśmy się, bo nie wiedziałyśmy co z ojcem, czy został zabity, czy może leży gdzieś w lesie ranny, czy został schwytany. Na drugi dzień przyszedł do nas gajowy Tata (który również był wywieziony na Syberię) z wiadomością, że ojciec w nocy dotarł do jego gajówki, że nie jest ranny, ale do domu wrócić nie może. Kazał się nam spakować i pomógł w dojechaniu do Brześcia, gdzie oczekiwał nas ojciec. Zostawiliśmy umeblowane pięciopokojowe mieszkanie, duży księgozbiór i uciekliśmy, żeby ratować życie.

Ojciec wynajął pokój u p. Tylińskiej i tam z częścią rzeczy, które zdołałyśmy zabrać zamieszkaliśmy rodzice i ja. W małym pokoiku, w domku, nie pamiętam przy jakiej ulicy.

Babcia pojechała do drugiego syna Bronisława. P. Tylińska miała córeczkę w moim wieku Danusię, więc mając przy sobie koleżankę i rodziców dość beztrosko spędzałam czas, nie przeczuwając co jeszcze może się zdarzyć. Ojciec dojeżdżał do pracy do Siedlec. Raz wrócił zdenerwowany, bo kiedy szedł wieczorem z dworca do domu, padł w jego kierunku strzał. Kula przeleciała obok niego.

Tak żyliśmy do 10 lutego 1940 roku.

II.

Od dwóch lub trzech dni ojca nie było w domu. Nie wrócił z Siedlec. Byłyśmy zaniepokojone, matka nasłuchiwała, wyglądała przez okno, miała zaczerwienione oczy.

W nocy 10 lutego obudziło nas łomotanie do drzwi i okien. Przyszło do nas NKWD, zrobili rewizję, kazali szybko się ubrać, spakować kilka rzeczy. Matka wpadła w rozpacz, że jesteśmy same bez ojca. Zapytała dokąd nas zabierają. Oficer powiedział, że będziemy przesiedleni "w drugie rajony". Matka powiedziała, że na Sybir, a on zapytał skąd wie, że na Sybir. Matka: bo Rosjanie zawsze Polaków na Sybir wywozili. Była tak zdenerwowana, że ubrała mnie i siebie i niczego nie pakowała. NKWD-zista był ludzkim człowiekiem, bo zawołał p. Tylińską i kazał nas spakować. Mieliśmy duży wiklinowy kosz i do kosza wrzucała przy pomocy tego oficera pościel, ubranie i trochę żywności. Np. podniósł woreczek z cukrem i pytał co to jest. Matka mówi, że cukier, a on włożył go do kosza i powiedział: "Nadą wziat'a to zenszczyna pagibniet s rebionkom" - trzeba wziąć, bo kobieta zginie z dzieckiem".

Matka zabrała tylko trzy książki: Historię Polski, Pana Tadeusza i Nad Niemnem z dedykacją ojca, oraz obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Historię "pożyczyły" od nas potem panie ze Związku Patriotów Polskich, Pan Tadeusz został na Uralu, u mieszkającej tam od dawna Polki - obywatelki

radzieckiej - p. Makarewicz, która miała syna Tadeusza i żadnej polskiej książki. Nad Niemnem mam, z zasuszoną w niej syberyjską sasanką. Obrazek Matki Boskiej też wrócił z nami do kraju.

Matka cały czas płakała i pytała tego NKWD-zistę o ojca, już wiedziała dlaczego nie było go w domu. Czuła, że jest też zabrany przez NKWD. Zdawała sobie sprawę, co czeka nas na Syberii bez ojca, a jego, gdy zostanie wywieziony osobno. Prosiła oficera, żeby postarał się, żebyśmy byli razem. Obiecał. Potem załadowali nas na ciężarówkę i powieźli na stację kolejową. Na stacji stał już pociąg, wladowano nas do bydlęcego wagonu, pełnego ludzi i tam siedzieliśmy przez cały dzień. Było ciemno, ciasno i duszno, ludzie płakali, modlili się, kłócili o miejsca. Ktoś pozwolił mnie położyć się do swojej rozłożonej pościeli. Matka jak sparaliżowana siedziała na podłodze wagonu i płakała. W pewnym momencie rozległ się szcęk otwieranych drzwi wagonu i głos wywołujący nasze nazwisko. Matka podeszła do drzwi i wtedy ten sam NKWD-zista, który był po nas, powiedział: "Wot ja wam waszego muža priwiol" - "oto przyprowadziłem waszego męża". Byliśmy więc razem, a było to szczęście w nieszczęściu.

Wagon miał cztery małe okienka, na środku stał żelazny piecyk, w którym paliło się drzewo. Dali nam wody, kto miał naczynie mógł sobie zagotować. Gdy pociąg ruszył, w wagonie

powstał lament nie do opisania, ludzie odmawiali "Pod Twoją obronę". Jechaliśmy bardzo długo - cały miesiąc. Raż na dobę otwierano wagon i wypuszczano nas pod strażą uzbrojonych w karabiny z bagnetami "strzejków", żeby można było załatwić potrzeby fizjologiczne. Wszyscy razem, mężczyźni, kobiety i dzieci musieli to robić tuż przy pociągu. A pociąg był długi. W wagonie był smród, choć było bardzo zimno, dzieci płakały, słychać było jęki, ludzie gorączkowali, wymiotowali. Nie wiem ile osób zmarło w czasie tej makabrycznej podróży i co robiono ze zwłokami, rodzice starali się zaoszczędzić dziesięcioletniemu dziecku takiego widoku i takich wiadomości i ukrywali to przede mną, odwracając moją uwagę i wzrok w innym kierunku.

Na jakiejś stacji (Nowosybirsk, Krasnojarsk ?) wypro- wadzono nas z wagonu - i zaprowadzono do "bani" - łaźni. Mężczyźni do jednego pomieszczenia, a kobiety i dzieci do drugiego. Tam wszystkim kazano rozebrać się do naga i myć się. Była ciepła woda, buchały kłęby pary. Prawdziwe piekło. Byłoby to wspaniałe, po tygodniach niemożności umycia się, gdyby nie wstyd i strach, gdyż cały czas towarzyszyli nam żołnierze uzbrojeni w karabiny z bagnetami. Poganiali i popychali ociągających się. Ja bałam się tam wejść, zostałam popchnięta, poślizgnęłam się na mokrej podłodze i upadłam. Wtedy mama powiedziała do tego, który mnie pchnął: "Wy silny nad rebionkami i zenszczinami" - jesteście

silni nad kobietami i dziećmi. Oburzył się, ale odszedł na bok. Potem oddali nam ubrania śmierdzące jakimś środkiem dezynfekcyjnym i odprowadzili do wagonów w dalszą drogę.

W czasie całego miesiąca jazdy dostawaliśmy tylko "kipiatok" - wrzątek, a żywiliśmy się sami, dzieląc się między sobą.

Raz pociąg zatrzymał się w miejscu niezabudowanym, gdzie przy torach pracowały pod strażą kobiety - więźniarki, w obdartych waciakach, z nogami owiniętymi szmatami. Nie mieliśmy pojęcia, że był to "strój organizacyjny" wielu łagrów i więzień sowieckich i że wkrótce my też będziemy tak wyglądali. Zbiegły się natychmiast w pobliże pociągu i rozpaczliwie wołały "radi Boga dajcie chleba". Z wagonów rzucano im kawałki chleba, który wrywały sobie nawzajem i szybko jadły. Pilnujący ich strażnicy natychmiast je odpędzili tak, że niewielu biedaczkom udało się pochwycić zdobycz. Kawałki chleba pozostały na ziemi koło wagonów.

III.

Dowieziono nas do miasta Tajszet - Irkuckaja obłast' -
posiłek "Udacznyj". Nie pamiętam czym dowieziono nas
z Tajszetu do posiołka, czyli obozu w tajdze, ale nie
szliśmy na piechotę. Obóz nie był ogrodzony drutami, dokoła
była dzika tajga, nie obawiano się, by ktoś odważył się
z dziećmi i starcami uciekać w tajgę, a jasne było, że nikt
nie zostawi rodziny i nie ucieknie sam.

Nasz posiłek składał się z kilku drewnianych baraków
(nie pamiętam ile ich było). Pamiętam nasz barak, przez
środek biegł korytarz, a po obu jego stronach znajdowały się
"kajuty" (około 20), w których zamieszkały poszczególne
rodziny, bez względu na ilość osób. W każdej kajucie były
dwie piętrowe, drewniane prycze do spania i około 2 - 3 m²
przestrzeni. Kajuty były oddzielone od siebie i korytarza
ściankami drewnianymi, które kończyły się na wysokości około
80 cm poniżej sufitu. Zewnętrzne ściany baraku zbudowane
były z grubych bierwion, szpary utkane były mchem. Każda
kajuta miała małe okienko z szybami, pokrytymi w zimie
grubą, nigdy nie topniejącą warstwą lodu. Zewnętrzne ściany
lśniły od szronu. Mrozy dochodziły do -50°C. Barak ogrzewany
był jedynie trzema żelaznymi piecykami ustawionymi na kory-
tarzu. Można tam było gotować jeśli było co. Tam w pobliżu
piecyków było nieco cieplej, do kajut ciepło nie dochodziło.
Po wewnętrznych ścianach łąziły z kajuty do kajuty pluskwy

w ogromnych ilościach. Byliśmy pogryzieni straszliwie. Wode dowożono w beczkach, trzeba było długo czasem stać na mrozie i czekać kiedy ją przywiozą. O myciu się, szczególnie w zimie nie było mowy, pojawiły się wszy.

Obok nas mieszkali państwo Malibowie. Pamiętam z Syberii nazwiska: Świderscy, Wesołowscy, Hauserowie, Kogucińscy (Kokocińscy), Czaplińscy. Czaplińscy wkrótce po ogłoszeniu amnestii wyjechali do Kazachstanu. To była trzyosobowa rodzina: matka, ojciec i syn, trochę starszy ode mnie. Już po wojnie mój ojciec mówił, że miał wiadomość, że jeden z nich zginął pod Monte Casino.

Ojciec mój wraz z innymi mężczyznami i częścią kobiet pracował w tajdze przy wyrębie drzewa i ładowaniu go na platformy kolejowe. Nie miał odpowiedniego ubrania, wracał zmordowany, zmarznięty, ręce i nogi miał przemrożone, spuchnięte. Nasz sąsiad pan Malibo zrobił z gwoździa szydełko i ze sprutego kilimka mama zrobiła ojcu rękawice i skarpetki. Mam jeszcze to pamiątkowe szydełko.

Pan Malibo z posiołka Udacznyj był wywieziony dalej na wschód do łagru. Po amnestii wrócił do nas w okropnym stanie. Jego żona powiedziała, że tylko jej serce go poznało, bo zupełnie nie był do siebie podobny, opuchnięty, poodmrażany cały w ranach i strupach, ubrany w łachmany.

Jedzenie było bardzo złe. Otrzymywaliśmy "pajok" - przydział po 200 gram "chleba", to była czarna, mokra,